

# Życie na kresach

W kolejnym odcinku naszego cyklu publikujemy wspomnienia z dzieciństwa pana Tadeusza Kowalskiego, ostródzianina od 1945 roku. Drugą część wspomnień pana Tadeusza, dotyczącą życia w powojennej Ostródzie zamieścimy w następnym numerze.

Po odzyskaniu niepodległości, Polska uczyniła ze Stanisławowa stolicą jednego z ważniejszych województw. W mieście powstały duże warsztaty kolejowe, rafineria nafty, fabryka waty i watoliny, fabryka smarów, tkalnia mechaniczna, pracownie kołder, ubrań i obuwia, oraz wytwórnia dywanów perskich i kilimów. Wybudowano elektrownię, oraz suszarnię warzyw i owoców. Bo województwo stanisławowskie to kraj sadów i urodzajnych ziem pszeniczno-buraczanych. Wielcy i możni panowie polscy od piastowskich czasów mieli swe włości niby udzielne księstwa.



Karol i Maria z Burgerów, rodzice autora wspomnień w 1926 r.

Ossolińscy, Krasicczy, Kuropatowie, Potoccy, Tęczyńscy, Jabłonowscy, Kossakowscy, Konieczpolscy, Drohojowscy, Skarbkowie i wielu innych. Potocznie ziemie te nazywano Ukrainą. Trzeba tu wyjaśnić, że nazwa ta nie pochodzi stąd, że były to tereny jakiegoś państwa ukraińskiego. Takiego państwa nigdy nie było. Były to ziemie położone „u kraju”, czyli położone przy kraju polskim. Dlatego „u kraina”. U kraju to tak jak się czasami mówi u bram, czyli przy bramie. Początkowo mówiono, że są to ziemie ukraińskie a nie ukraińskie, Zaś miasta też były ukraińskie a nie ukraińskie. Południowa część województwa stanisławowskiego, to góry ze słynną Czarnohorą. To już Huculszczyzna „gdzie szum Prutu, Czeremoszu Hucułom przygrywał”. Stolica Huculszczyzny to Żabie, które liczyło sobie sześć tysięcy mieszkańców. Był tam sąd, poczta, szpital, hotele, restauracje i huculski teatr. Stanisław Yincenz opisał ten cudowny świat huculski w swojej epopei „Na wysokiej połoninie”. Nad Czeremoszem leżało inne śliczne miasto - Kuty. Kuty to stolica ukraińskich Ormian. Były Kuty głównym punktem handlowym z zagranicą i z krajem. Ormianie mieli swoje filie handlowe we Lwowie, Stanisławowie, Przemyślu i Śniatynie. Do Węgier i na Bałkany wywozili konie huculskie, bydło, sól, kiełbasy kozie, słynne pokuckie zioła lecznicze. Sami produkowali siodła, ceramikę, wyroby koszykarskie i skórzane. Kuty, Zaleszczyki, Kosów i Śniatyn były najcieplejszymi miastami w dawnej Polsce. **16 ROZMAITOŚCI OSTRÓDZKIE**

Kosów to miasto powiatowe nad rzeką Bybnica. Słynął Kosów ze swych źródeł solnych. Dlatego dr Tarnawski założył tu słynny w całym kraju zakład wodolecznicy. W Kosowie dobrze rozwinięty był przemysł tkacki i kozusznicy. Nad miastem wznosiła się Miejska Góra na której kiedyś był zamek obronny zwany „fortalicją” Wiejskie zagrody w okolicach Kut i Kosowa tonęły w sadach owocowych. Wincenty Poi w „Pieśni o ziemi naszej” pisał o tych ziemiach:

To kraj cały jednym łanem I nadany wszelkim płodem Płynię mlekiem, płynię miodem

Śniatyn to też miasto powiatowe nad Prutem. Ze względu na urodzajne ziemie, był to powiat wybitnie rolniczy. Ciepły klimat umożliwiał uprawę tytoniu, buraków cukrowych, pszenicy i owoców południowych. W powiecie śniatyńskim były dwie wsie, które mają związek z moim życiorysem.

Na lewym brzegu Prutu między miastami Zabłotów i Śniatyn leżały Wołczkowce, a na prawym brzegu, tam gdzie rzeka Rybnica wpada do Prutu Rudniki. W Wołczkowcach mieszkali moi dziadkowie - Michał i Izabela ze Zdanowiczów Kowalscy. Mieli młyn, który był źródłem ich utrzymania. Ja swoich dziadków Kowalskich nie pamiętam. Zmarli kiedy miałem trzy lata. Wiem, że była to rodzina wielodzietna. Pamiętam zaś dobrze swoje ciotce Stefanię i Eugenię oraz stryjów - Stanisława i Mieczysława. Obie ciotki wyszły za mąż za kolejarzy. Eugenia za Pawła Holickiego a Stefania za Fabiana Ciska. W roku 1945 kiedy Rosjanie wypędzili nas z tamtych stron, Holicy zamieszkali we Wrocławiu a Ciskowie w Jeleniej Górze. Holicy mieli córkę i syna a Ciskowie trzech synów.

Stryja Stanisława pamiętam z okresu przedwojennego. Przyjeżdżał do nas na wakacje. Był oficerem wojsk polskich. Imponował mi jego mundur a zwłaszcza szabla. Dlatego marzyłem

o tym by zostać oficerem. Stryj Stanisław należał do AK. Po wkroczeniu wojsk sowieckich został aresztowany i bestialsko zamordowany na zamku lubelskim. Stryj Mieczysław po ukończeniu szkoły średniej handlowej pracował w Urzędzie Miasta w Kulach. Po wybuchu wojny w 1939 roku przez Rumunię i Węgry dostał się do Francji i tam wstąpił do polskich sił zbrojnych. Po kapitulacji Francji został internowany w Szwajcarii. Po wojnie dostał pracę w Międzynarodowym Czerwonym Krzyżu w Genewie. Ożenił się i przyjął obywatelstwo szwajcarskie. Zmarł w Genewie i tam został pochowany. Dzieci nie miał. Jedyną córką stryja Stanisława mieszka obecnie w Puławach. Trzeci brat Karol Kowalski to mój ojciec. Urodził się 27 października 1901 roku.

W Rudnikach natomiast mieszkała rodzina Burgerów. Karol Kowalski i Maria Burger pobrali się w lipcu 1926 roku. Rodzice moi poznali się w dość zabawnych okolicznościach. W Wołczkowcach i Rudnikach organizowane były kursy szycia, gotowania i tańców. Na zakończenie kursu tańców w Rudnikach więcej było kobiet niż mężczyzn. Dla równowagi organizator kursu poprosił do Rudnik kilku panów z Wołczkowic. Wśród zaproszonych był mój ojciec. Mama była jeszcze niepełnoletnia, a ojciec po szkole średniej i obowiązkowej służbie wojskowej. Narzeczeństwo ich trwało 5 lat. Pierwszy syn urodził się w 1930 roku i otrzymał imię Kazimierz. Ja urodziłem się w 1932 roku.

Moja mama i jej siostra Wanda brały ślub w tym samym dniu. Ciocia Wanda wyszła za mąż za swego kuzyna Juliana Burgera. O zgodę na zawarcie tego związku musieli pisać do papieża. Wiem, że się kochali. Już jako dorosły miałem okazję o tym się przekonać. Wydaje mi się jednak, że w grę wchodziły też i sprawy majątkowe. Chodziło oto nie dzielić majątku ziemskiego oddając jego część jako posag w obce ręce. Dlatego też moja mama nie dostała w posagu ziemi, lecz splecono ją w gotówce. Jaka to była kwota,



Od lewej Maria Kowalska, stoją siostra ojca Eugenia, brat ojca Mieczysław, ojciec, jego siostra Stefania, w środku dziad Michał Kowalski, w mundurze Stanisław Kowalski, Wołczkowce początek lat trzydziestych.

tego już dziś nikt nie pamięta. Wiem, że dom w którym mieszkali dziadkowie był nowy. Dziadek otrzymał odszkodowanie za zniszczenia wojenne i za te pieniądze pobudował po roku 1922 nowy budynek. Wartość strat wojennych oszacowano na 10.457 koron w złocie.

Ojciec mój w tym czasie pracował w starostwie powiatu kosowskiego. Matka prowadziła dom. Dla podreperowania mego zdrowia rodzice jeździli ze mną do różnych uzdrowisk. W ten sposób poznałem Żabie, Burkut, Worochę i inne wypoczynkowe miejscowości. W czasie tych podróży poznałem i bardzo polubiłem góry, Rzeka Czeremosz, która przepływa przez Żabie z czystą jak przysłowiowy kryształ wodą. bardzo mi się podobała, złowiłem w niej kiedyś pstrąga gołą ręką. W wieku pięciu lat umiałem już dobrze pływać i jeździć na nartach.

Moja mama przyjaźniła się przed wojną z Marylą Raków, która pochodziła z Zawier-

opieką wychowawczyni udaliśmy się do klasy. Do tej szkoły uczęszczałem przez dwa tygodnie. Gdzieś tak około 15 września wybuchła panika. Przyszła wiadomość o tym, że prezydent Mościcki przebywa w Śniatynie, a marszałek Rydz-Śmigły ze swoim sztabem zjawił się w Kosowie. Między Śniatyniem, Kulami i Kosowem była duża koncentracja wojska. Przestały działać urzędy a w szkołach przerwano naukę. Urzędnikom i nauczycielom zalecono ewakuację do Rumunii. Ojciec postanowił pozostać. Nie chciał zostawić nas bez opieki, przenieśliśmy się do Rudnik. 17 września na naszych terenach pojawiły się wojska rosyjskie. Szkoły i urzędy opanowali Ukraińcy. Zabroniono nauczania w języku polskim. Ja w tym środowisku czułem się źle. Nie miałem kolegów, nie znałem języka ukraińskiego. Do szkoły bałem się iść. Kiedy mama przyprowadziła mnie do szkoły, bałem się wejść do klasy. Zaparłem się nogami i rękami

gdyż Niemcy w 1943 r. zaczęli pisać o Katyniu. Publikowali nazwiska pomordowanych polskich oficerów. Brat ojca, Stanisław też był oficerem i ojciec bał się, że wśród poległych znajdzie jego nazwisko. Po wojnie okazało się, że stryja Stanisława zamordowali ci sami oprawcy, tylko dokonali tego nie w Katyniu a na zamku lubelskim.

Okres okupacji zarówno sowieckiej jak i niemieckiej był dla Polaków tragiczny. Zarówno jedni jak i drudzy wpadali w nocy zniemacka, zabierali mieszkańców domu i wywozili w nieznanym kierunku. Nikt nie wiedział kiedy, kogo i dlaczego. Wszelki ślad po tak wywiezionych ginął. Sądziłem, że już nic gorszego Polaków spotkać nie może. Jednak jeszcze gorszy czas mieliśmy przed sobą.

Na początku 1944 roku wojska niemieckie opuściły już nasze tereny, a sowieckie jeszcze nie nadeszły. Wówczas nacjonaliści z Ukraińskiej Powstańczej Armii urządzili Polakom krwawą rzeź. Każdej nocy płonęły polskie domy a morderstwa były okrutne. Do studni wrzucano żywe dzieci a dorosłych torturowano. Wykluwano oczy, obcinano kończyny, często leż przybijano gwoździami do drzewa. Nasza rodzina cudem uniknęła śmierci. Ojciec w czasie okupacji pracował jako robotnik w lesie. Tam poznał partyzantów, od których dowiedział się, że najbliższej nocy ukraińskie bandy mają zamiar mordować Polaków w Rudnikach. Ojciec poprosił ich o pomoc. Krytycznej nocy w jednym pokoju zebrali się: moja mama, ciocia Wanda, pani Kitnar i ja z bratem. Mężczyźni pełnili straż na zewnątrz. Ukraińcy zebrali się późnym wieczorem w domu oddalonym od naszego o kilkadziesiąt metrów. Wówczas partyzanci oddali kilka strzałów do okien domu w którym zebrali się mordercy. Banderowcy w popłochu rozpiechli się. Mimo, że okna pokoju naszego były obłożone poduszkami, strzały słyszeliśmy wyraźnie. W pokoju powstał popłoch. Pani Kitnar była w ostatnim miesiącu ciąży i zaczęła rodzić. Ciocia Wanda dostała torsji. Jedynie moja mama zachowała zimną krew. Odebrała poród, udzieliła pomocy swojej siostrze Wandzie a nas zabrała do kuchni. Zamknięci w mieszkaniu nie wiedzieliśmy co się stało. Sądziłem w pierwszej chwili, że to banderowcy strzelali do naszych mężczyzn. Po kilkunastu minutach wszystko się wyjaśniło. Było już dobrze po północy. Wujek Burger przygotował furmankę. Ułożył warstwę słomy, na niej koldry, koce i poduszki. Na tym postaniu położyli panią Kitnar z nowo narodzoną córką i ruszyliśmy w drogę do Zablótowa. Był bardzo zimny marzec. Padał deszcz ze śniegiem i wiał bardzo silny wiatr. Polnymi drogami szliśmy za furmanką i grzęźliśmy w błocie. O świcie dotarliśmy do miasta. Udaliśmy się na plebanię do księdza, który oddał do naszej dyspozycji dwa pokoje i kuchnię. W dzień byliśmy na plebani, a na noc szliśmy spać do kościoła. Kościół był murowany, okna miał wysoko umieszczone, więc trudno go było podpalić. Mężczyźni trzymali wartę na wieży kościelnej. Banderowcy bali się wtargnąć do śródmieścia, spalili jedynie dworzec kolejowy i budynek sądu. Gdzieś tak w połowie marca 1944 r. do Zablótowa wkroczyły pierwsze oddziały wojsk rosyjskich. Nastąpił względny spokój.

Tadeusz Kowalski

ROZMAITOŚCI OSTRÓDZKIE 17



cia. Po maturze odbywała praktykę zawodową u mego ojca. Pani Maryla umiała ślicznie haftować i szyć. Wykonała kilka haftowanych obrusów w prezencie dla moich rodziców. W roku 1940 wywieziona została na Sybir. Rosjanie zastosowali podstęp. Ogłosili mianowicie, że jeżeli ktoś chce wyjechać na tereny okupowane przez Niemców, to w określonym dniu musi się zgłosić na dworc kolejowym we Lwowie. Pani Maryla uwierzyła w to. Chciała wrócić do Zawiercia. Kiedy Rosjanie, skompletowali skład pociągu, to zamiast na zachód wywieźli wszystkich na wschód. Mimo usilnych starań rodzicom nie udało się ustalić dalszych jej losów.

Nadszedł wreszcie dzień 1 września 1939 roku. Dzień ważny nie tylko w moim życiu. Jak się miało później okazać, był to ważny dzień dla całego świata. Właśnie ukończyłem siedem lat i rozpoczynałem naukę. Przygotowania do tej uroczystej chwili trwały od dłuższego czasu. Dostałem ubranko z granatowego aksamitu, białe podkolanówki i lakierki. Rano w asyście rodziców poszedłem do szkoły. Ustawiono nas w szeregu. Przemówił kierownik szkoły pan Osuch. Powiedział, że w dniu dzisiejszym nasz odwieczny wróg znowu napadł na Polskę. Jednak Polska jest silna i nie ustąpi ani na krok. Po tym przemówieniu pod

0 futrynę. Krzyczałem na cały głos że nie chcę, nie pójdę, nie będę się uczył. Mama przy pomocy nauczycielki siłą wepchnęły mnie do klasy. Pierwsze tygodnie były dla mnie koszmarem, zbierałem same dwójki. Wezwano wreszcie do szkoły ojca. Po powrocie ojciec nie powiedział ani słowa. Spodziewałem się lania, a tu nic. Wieczorem ojciec wezwał mnie i powiedział, że do nauki mnie nie może zmusić. Jak dorosnę to kupi mi dorożkę i będę woźnicą. W czasie deszczów i mrozów będę stał przed dworcem kolejowym i czekał na pasażerów. Moi rówieśnicy którzy chętnie się teraz uczą zostaną lekarzami, prawnikami lub inżynierami i ja będę ich wozili. Jest pewne, że żaden z nich nie przyzna się do znajomości. Metoda ojca okazała się skuteczna. Od tej pory na moich świadectwach szkolnych nigdy nie pojawiła się dwójka. Ojciec nigdy nas nie uderzył, a jednak baliśmy się go. Jego spojrzenie gorsze było nieraz od tęgich batów.

W czerwcu 1941 roku Niemcy nagłym uderzeniem zajęli nasze tereny. Rozpoczęła się wojna niemiecko-rosyjska. Jednak w szkole nic się nie zmieniło. W dalszym ciągu była to szkoła ukraińska, w której języka polskiego nie wolno było uczyć. Część gazet wydawana była jednak w języku polskim. Ojciec kupował te gazety.

Prezentujemy Państwu drugą część wspomnień pana Tadeusza Kowalskiego. Poprzednią zakończyliśmy na 1944 roku, kiedy to do województwa stanisławowskiego U Rzeczypospolitej, na rodzinne ziemie autora wspomnień, wkroczyła Armia Czerwona. W części tej dowiecie się Państwo jak wyglądało życie ostródzian w pierwszych latach po wojnie.

## Pierwsze lata w Ostródzie

Gdzieś tak w połowie marca 1944 r. do Zabłotowa wkroczyły pierwsze oddziały wojsk rosyjskich. Nastąpił względny spokój. Dla mnie najgorsze było to, że szkoły nie wznowiły działalności. Straciłem jeden rok nauki. Rosjanie szybko powołali komisje poborowe. Wcielali do wojska wszystkich Polaków, którzy nie posiadali gospodarstw rolnych. Rodzice majątku ziemskiego nie posiadali, więc zostali powołani do wojska i ojciec.

We wrześniu 1944 roku w Zabłotowie reaktywano polską szkołę. Wprawdzie dyrektorką została Rosjanka, ale nauczycielami byli Polacy, a językiem nauczania był język polski. Uczęszczałem wtedy do klasy czwartej.

Rosjanie założyli w domu, który wynajmowaliśmy, głośniki radiowe podłączone do radiowęzła. 9 maja 1945 roku Radio Moskwa nadało komunikat o kapitulacji Niemiec. Oznaczało to koniec wojny. Następna wiadomość spowodowała osłupienie i rozpacz Polaków. Podano, że Lwów i pozostałe ziemie na wschód wcielone zostały do Ukraińskiej Republiki Radzieckiej. Polacy będą przesiedleni na zachodnie tereny, które przyznano Polsce. Nie potrafię opisać tego, co wówczas przeżyliśmy, Rosjanie szybko przystąpili do działania. Wręczali Polakom karty ewakuacyjne i ze skromnym majątkiem kazali się zgłaszać na dworcu kolejowym. Dokładnej daty naszego wyjazdu nie pamiętam. Był to koniec lipca, lub początek sierpnia. Nasza podróż trwała dwa miesiące. Wieźli nas okrężnymi trasami kolejowymi, nikt nie potrafił powiedzieć dokąd. Do dziś nie wiem czy ktoś kierował tym całym ruchem i podejmował decyzję jaki transport do jakiej miejscowości ma być skierowany. Dojechaliśmy do Dębna, około 50 km za Gorzowem Wielkopolskim. Kazali rozładować się i iść do miasta poszukać sobie mieszkania. Miasteczko było czyste i bez śladu działań wojennych. Zajęliśmy domek tuż przy stacji kolejowej.

W październiku przyjechał ojciec i zabrał nas do Ostródy. Wówczas jeszcze miasto nazywało się Ostród i było potwornie zniszczone. Same gruzy. Zrobiło to na mnie przykre wrażenie. Ojciec pracował w Powiatowej Komendzie Uzupełnień jako szef kancelarii. Zgodnie z rozkazem władz wojskowych wszyscy pracownicy PKU musieli mieszkać w jednym domu. Była to kamienica przy ul. Wańkowicza 10. Ulica była bardzo ładna, jedyna w mieście, przy której ani jeden dom nie był zniszczony. Przed wszystkimi budynkami były ładne ogródki z krzewami pachnącego jaśminu i bzu. Przy krawężnikach rosły drzewka uformowane w kopuły. Nasze mieszkanie było wygodne i miało trzy pokoje, kuchnię i balkon. Pierwsze kroki skierowałem na balkon i byłem świadkiem takiego widoku - środkiem ulicy pędził na rowerze rosyjski żołnierz, a po chodniku biegł mężczyzna lat około czterdziestu i krzychał „trzymajcie go, rower mi ukradł!”. Rozśmieszył

mnie ten człowiek, bo na ulicy nie było żywego ducha.

Najbardziej zniszczony był Plac Linki (obecny Plac Tysiąclecia Państwa Polskiego). Tam w zwalach gruzu nie można było rozeznaczyć, gdzie stał jakiś budynek. Można jednak rozpoznać, gdzie stał budynek teatru przy ulicy Teatralnej (obecnie Drwęcka). Ale były też budynki mało zniszczone. Na Placu Wolności stał budynek niemieckiego gimnazjum żeńskiego, a przy ulicy Teatralnej budynek też po jakiejś szkole, w obu brakowało jedynie dachu i okien. Niestety, zgodnie z obowiązującym hasłem „cały Kraj odbudowuje swoją Stolicę” rozbierano wszystkie zrujnowane budynki, a uzyskaną cegłę wysyłano do Warszawy. Ulice w mieście zniszczone były w różnym stopniu. Jedne całkowicie, inne tylko częściowo.

Święta Bożego Narodzenia w porównaniu z latami okupacji nie były ubogie. Jednak bardzo smutne. To pierwsze święta spędzane na obczyźnie. Sylwestra w roku 1945 obchodziliśmy też w domu. O północy przeżyliśmy chwile strachu. Po przeciwnej stronie naszej ulicy



w budynku Nr 7 na parterze mieli posterunek milicjanci. O północy pootwierali okna i zaczęli strzelać. Kilka pocisków trafiło w ścianę naszego budynku. Ojciec z balkonu wezwał milicjantów do zaprzestania strzelaniny. Kiedy to nie pomogło, oddał dwa strzały ze swego służbowego pistoletu. To poskutkowało. Pewnie milicjanci doszli do wniosku, że z wojskiem lepiej nie zaczynać.

Rok 1946 przyniósł kilka udogodnień mieszkańcom. U uruchomiono wodociągi i gazownię miejską. Nieźle działał też handel. Sklepy należały do prywatnych kupców i było ich sporo. Przy ulicy Wańkowicza dwa sklepy masarskie - jeden należał do Hałaburdy a drugi do Gajewskiego. Na rogu ulic Sienkiewicza i Czarnieckiego miała sklep spożywczy handlarzka z Warszawy, pani Braun. Przy ulicy Thugutta (obecnie Zamkowa) znajdowało się kilka sklepów: artykułów kolonialnych, mydlarski, masarski i piekarniczy braci Lelińskich. Przy ulicy Mickiewicza 2 był sklep „Samorządowiec” a przy Czarnieckiego sklep i restauracja LPŻ (Ligi Przyjaciół Żołnierza). Miał też swój sklep pan Krakowski, późniejszy znany adwokat. Kiedy powołano państwowe

instytucje handlowe takie jak MHD (Miejski Handel Detaliczny) OZG - Olsztyńskie Zakłady Gastronomiczne, oraz spółdzielnie PSS „Społem” i gminne spółdzielnie „Samopomoc Chłopska” handel prywatny upadł.

Mnie, czternastoletniemu chłopcu, bardzo podobał się sposób karania notorycznych pijaków. Przed Urzędem Miasta przy ulicy Sienkiewicza 15 postawiono oszkloną tablicę. Na tej tablicy umieszczano fotografie pijaków, opis ich czynów i wymiar kary, którą była praca na rzecz miasta. Najczęściej musieli oni zamiatać ulice w centrum miasta. Stałe miejsca na tej tablicy mieli dwaj panowie. Jednym z nich był technik dentystyczny.

W tym czasie były w mieście dwie szkoły. Szkoła Powszechna nr 1 przy ulicy Limanowskiego 24 (obecnie ulica Pieniężnego) i Szkoła Powszechna nr 1 przy ulicy Olsztyńskiej. Ja przyjęty zostałem do klasy piątej Szkoły Powszechnej nr 1. Wychowawczynią naszą była pani Wanda Będkowska, a kierownikiem szkoły pan Stefan Jędrzejczak. Pochodzenie uczniów było różne - część była z Mławy i okolic, część z Wileńszczyzny lub Pomorza. Z naszych stron byłem tylko ja jeden. W szkole szło mi dobrze. Po polsku mówiłem i pisałem poprawnie a zdradzał mnie jedynie kresowy akcent, który zachowałem do dziś.

Jak nadeszła zima, to ja nie wiedziałem co ze sobą zrobić. Inni ślizgali się na łyżwach, a ja jeździć na łyżwach nie umiałem. Jeździłem dobrze na nartach, a tu ani nart, ani porządnej górkę. Wtedy po raz pierwszy zatęskniłem za rodzinnymi stronami. Wspominałem nasz piękny krajobraz górzisty, czyste rzeki i rozległe uprawne pola. Zrobiło mi się smutno, a w gardle poczułem jakiś dziwny ucisk. Zaczęłem coraz bardziej cenić i starannie przechowywać przywiezione z Zabłotowa drobiazgi. Najbardziej ceniłem zdjęcie ze wszystkimi uczniami IV klasy szkoły w Zabłotowie.

W 1946 roku ojciec został zdemobilizowany i rozpoczął pracę w Starostwie Powiatowym na stanowisku inspektora samorządowego. W 1946 r. wstąpiłem do Związku Harcerstwa Polskiego. Po ukończeniu szkoły podstawowej, zdałem egzamin do Szkoły Ogólnokształcącej Stopnia Licealnego zwanej popularnie „Jedenastolatką”. Byliśmy uczniami, klasy ósmej. Prawie wszyscy uczniowie tej klasy to koleżanki i koledzy z poprzednich lat. Bardzo mało uczniów przybyło z innych szkół. Wszystko stanowiło pewien dalszy ciąg. Poprzednie roczniki po ukończeniu szkoły podstawowej ucęszczały do Państwowego Gimnazjum i Liceum. Wydawało mi się, że taka nazwa nobilituje. Bo co gimnazjum, to nie jakaś tam jedenastolatka. Zmiana nie była odczuwalna. Pozostaliśmy nadal w tym samym budynku, a części przedmiotów uczyli nas ci sami nauczyciele ze szkoły podstawowej. Jednak nie wszystko było takie jak w podstawówce. Dyrektorem był inż.



Na szkolnej wycieczce - autor wspomnień w harcerskim mundurze drugi od lewej w drugim rzędzie od góry

Witold Mach ze Lwowa. To cała legenda. Był to *mężczyzna* zawsze zadbany i nienagannie ubrany, pachnący dobrą wodą kolońską, z groźną miną i czujnym okiem. Bali się go wszyscy, ale i wszyscy bardzo go szanowali. Wychowawcą naszej ósmej klasy był Stefan Jędrzejczak, były kierownik naszej podstawówki. Zmienił się też nasz stosunek do lekcji religii, której uczył nas ksiądz Tadeusz Swirtun. To on właśnie podniósł poziom tego przedmiotu do właściwej rangi. Ksiądz Swirtun nie wiadomo dlaczego nie lubił dziewcząt. Prowadząc lekcje zawsze patrzył w stronę klasy po której siedzieli chłopcy. Na dziewczęta nie zwracał uwagi. Jak dziś pamiętam lekcję na której omawiany był sakrament małżeństwa. Ksiądz ostrzegał chłopców przed pochopnym zawieraniem małżeństw. Mówił, że dziewczyna zanim wyjdzie na ulicę wymaluje od ucha do ucha usta, na twarz nałoży grubą warstwę pudru, z włosów zrobi szopę, na nogi nałoży jedwabne pończochy i buty z obcasem i jak szcudła, kuszą kiejkę a na ulicy kręci tyłkiem jak baletnica. Młody chłopak jak zobaczy takie чудо, to już gotów jest do zeniaczki. Dramat następuje w domu. Jak to чудо się umyje, to dopiero chłop widzi co ma. My chłopcy śmialiśmy się w głos, a dziewczyny siedziały nadąsane.

Do dziewiątej klasy przeszliśmy wszyscy.

Na wstępie spotkała nas, niespodzianka. Naszym wychowawcą a zarazem nauczycielem fizyki został doktor filozofii Ludwik Łakomy. Przyjechał z Krakowa i miał ambicje literackie. Napisał sztukę „Legenda Bałtyku” (nie mylić z operą Feliksa Nowowiejskiego). Sztukę tą mieliśmy odegrać na akademii pierwszomajowej. Jej treścią była miłość robotnika, który swe uczucia wyrażał takimi słowami:

*Nikt nie nauczy krowy na skrzypcach grać.*

*Nie nauczy milczenia serca,*

*Marteczko moja, tyś pchła*

*Me serce w otchłań mórz.*

Próby odbywały się oczywiście na lekcjach fizyki. Jednak do czasu. Kiedyś dyrektor Mach przechodził obok klasy. Usłyszał śpiewy, wszedł i zapytał jaką teraz mamy lekcję.

Odpowiedzieliśmy, że fizykę. Dyrektor poprosił do siebie pana Łakomego. Od tej pory próby zostały zakończone, a sztuka nigdy w Ostródzie nie została wystawiona. Kiedy już mowa o akademiach „ku czci”, miałem taką wpadkę. Deklamowałem wiersz Lucjana Szenwalda „Józef Nadzieja pisze z Azji Środkowej”. Po akademii dyrektor wezwał mnie do gabinetu i zapytał czy ja świadomie się pomyliłem. Kazał powtórzyć mi ten wiersz i kiedy doszedłem do słów „razem bijemy pruskiego zwierza” dyrektor przerwał mi i zapytał czy wiem co ja w tym miejscu powiedziałem na akademii. *Powiedziałeś „razem bijemy ruskiego zwierza”.* *Tej rozmowy między nami nie było, ale jeżeli jeszcze ktoś inny zwrócił na to uwagę to będziesz miał kłopoty* - powiedział. Okazało się



Licealny zespół taneczny założony i prowadzony przez panią doktor Irene Raubo (ok. 1950 r.)

na moje szczęście, że na takich akademiach nikt nie słucha takich deklamacji.

Dziewiątą klasę znowu ukończyliśmy w komplecie. Jednak część odeszła do innych szkół. Do dziesiątej klasy przeszły tylko 24 osoby.

Po wakacjach klasa nasza stała w szeregu przygotowana do apelu. Zauważyliśmy, że w pierwszym szeregu stoi nowa atrakcyjna koleżanka. Miała ładne włosy, śniadą cerę i figurkę - palce lizać. Chłopcy wymienili znaczące spojrzenia. Można sobie wyobrazić nasze zaskoczenie, kiedy po apelu weszła do klasy z dziennikiem pod pachą „nasza nowa koleżanka”. *Nazywam się Maria Gilewska, jestem polonistką i będę waszą wychowawczynią* - powiedziała. Pani profesor Gilewska szybko zdobyła naszą sympatię i szacunek. Do tej pory

bardzo często i miło ją wspominamy.

Dziesiąta klasa w szkole to już było coś, dlatego często obarczano nas społecznymi obowiązkami. Braliśmy udział w powszechnym spisie ludności jako inspektorzy spisowi. Na podstawie tych spisów wydawane były dowody osobiste. Przy ustalaniu daty urodzin niektórych osób mieliśmy sporo kłopotów. Chyba dwie, a może i trzy osoby, miały daty urodzenia nadane przeze mnie. Wysyłano nas też na wieś aby propagować spółdzielczość produkcyjną. Jesienią sadziliśmy las i jeździliśmy do PGR-ów na wykopki ziemniaków i buraków.

Dziś mało kto pamięta co to takiego było P.O. „S P”. Była to Powszechna Organizacja „Służba Polsce”. Młodzież wcielano jak do wojska i wykorzystywano do pracy na wielkich budowach. Ja też wcielony zostałem do tej organizacji. Wysłano mnie na Obóz Wyszukiwawczy Ministerstwa Oświaty P.O. „SP” w Nowym Targu. Kiedy nas szkolono w Nowym Targu, w Korei wybuchła wojna. Wszyscy byli pewni, że to początek trzeciej wojny światowej. Dlatego rodzice przysłali mi list, w którym kazali wracać natychmiast do domu. Biedni rodzice nie wiedzieli, że ja podlegam wszystkim rygorom wojskowym. Kurs ukończyłem z wynikiem bardzo dobrym i po powrocie do szkoły zostałem mianowany komendantem hufca szkolnego „SP”.

Rok szkolny, w którym nauka przeplatana była różnymi pracami społecznymi minął szybko.

Po wakacjach byliśmy już uczniami klasy maturalnej. Uczniowie szkół średnich mieli obowiązek w tym czasie słuchać wykładów kursu Wszechnicy Radiowej. Kurs taki zgodnie z

decyzją Ministra Oświaty kończył się egzaminem. Nam wyznaczono egzamin na 12 grudnia 1951 r. /dawaliśmy z przedmiotów: materializm dialektyczny i historyczny, historia ruchu robotniczego, historia literatury polskiej i polityczna ekonomia socjalizmu. Dziś z tych przedmiotów jak ekonomia socjalizmu nie pamiętam niczego. Pamiętam natomiast zabawną odpowiedź koleżanki, która zdawała w tej samej grupie co ja. Powiedziała ona, że słynny grecki uczony „Pantarej” udowodnił, że w przyrodzie wszystko płynie, a czas naprawdę szybko płynął. 2

lutego 1952 r. obchodziliśmy studniówkę. Skromnie, ale wesoło. Wreszcie 23 maja przystąpiliśmy do matury. W pierwszej kolejności matematyka. Znalazłem się w pierwszej trójce. Do auli wszedłem nieprzytomny. Ledwie znalazłem stolik z pytaniami. Wyjąłem pierwszą z brzegu kartkę. Podszedłem do tablicy z zamiarem narysowania trójkąta. Ręce mi drżały, nie mogłem utrzymać linii. Wówczas podszedł do mnie dyrektor i powiedział: Tadzik nie denerwuj się, masz czas. Poskutkowało. Zadanie rozwiązałem prawidłowo. Egzamin z pozostałych przedmiotów też poszły mi dobrze i 28 maja 1952 roku otrzymaliśmy świadectwa dojrzałości.

Zredagował Ryszard Bogucki

ROZMAITOŚCI OSTRÓDZIUE 17